

Rozdział VIII. Upadek

Jest szary, jesienny dzień. Pada leniwy deszcz. Szosą, jakich wiele w Polsce, lawirując między dziurami, które wyspały się jeszcze zeszłej zimy i przetrwały, szczęściary, akcje lepikowania na łapu-capu, jedzie furgon. A w jego wnętrzu, niczym niestrawiony pokarm w trzewiach nosorożca, podróżuje zespół Jana. Oraz instrumenty. Za kierownicą siedzi Marek, obok niego – Dorota, za nimi Jerzy z Beatą, a całkiem z tyłu, zamknięty w sobie, skolapsowany wręcz niczym kosmologiczna osobliwość, Jan. Za Janem jest jeszcze oczywiście bagażnik wypakowany sprzętem, którego lwią część stanowią elementy perkusji Marka.

Wycieraczki poruszają się monotonnie po złanej szybie, monotonnie pracuje silnik, a i krajobraz przesuwa się bez entuzjazmu, monotonnie, szary i monotony, jak i wszystko inne.

- Opowiem wam bajeczkę o jednej dziewczeczce – mówi Jerzy z wysiloną swadą.

Marek ziewa. Dorota ogląda sobie paznokcie, Beta wzdycha ciężko.

- Dzieweczka nazywała się Joanna Wanna – kontynuuje niezrażony Jerzy. - I miała przechlapane, bo wszyscy w szkole się z niej wyśmiewali. Krzyczeli za nią: Joanna Wanna, stara panna” i wytykali ją palcami. Albo krzyczeli: Joanna Wanna... Ty balio! I grali jej na nosie. Albo po prostu wołali: Joanna Wanna, Joanna Wanna. I rechotali nie wiedzieć czemu. Joanna była bardzo nieszczęśliwa. Aż w końcu, jak dorosła, poszła na studia i po rozum do głowy i postanowiła, że musi coś zmienić w swoim życiu. I zmieniła sobie nazwisko. Od tej pory jej życie stało się jednym pasmem sukcesów. Została gwiazdą polskiej kinematografii, a nawet celulitibritatis!

- I niby dlaczego miałyby się jej tak poszczęścić – pyta znudzona Beata.

- Przecież mówiłem, głuptasie, że zmieniła sobie nazwisko.

- A na jakie – w głosie Beaty pojawia się nutka zainteresowania.

- Na Joanna Brodzik – krzyczy Jerzy.

Furgon eksploduje wysilonym rechotem.

Rechoczą wszyscy, niczym stare ropuch, tylko nie Jan.

- To wam jeszcze powiem sportowy komentarz fachowy do ostatniego występu Otylii – ofiarowuje się najwyraźniej rozochocony Jerzy.

- Dawaj chłopie – zachęca go Marek. – Pewnie będzie jeszcze głupszy, niż ten twój poprzedni wystrzał.

- Co chcesz – Beata klepie Marka w ramię. – Mnie się podobało.

- Bo ty mało wybredna kobieta jesteś.

- To mam mówić, czy nie – udaje zdenerwowanie Jerzy.

- Dawaj chłopie, a chyżo – śmieje się Marek.

- Brzmi on tak: Otylia wprawdzie nie wygrała, ale się wszystkim bardzo podobała... bo płynęła krytą żabką z odkrytą kuciapką.

Wszyscy pokładają się ze śmiechu, Marek ledwo może prowadzić samochód. Tylko Jan siedzi ponury, wyobcowany.

- Przestań, matole, bo się w końcu rozpieprzymy – krztusi się Marek, na wpół uduszony ze śmiechu.

- Nie, nie, nie rozpieprzymy sieeeeeeeee, nie będzie tak źleeeeeeee, bo życ nam się chceeeeeee, je, je, je, jeeeeeeeeeee – śpiewa Beata.

Beata wstaje z fotela i zaczyna fikać w aucie. Wpada na Jana.

- Odwał się – mruczy ponuro Jan.

Beata siada na swoim miejscu. Atmosfera też siada.

- Daleko jeszcze – pyta Dorota, byle tylko wypełnić jakoś nieznośną ciszę.

- Jakieś osiemdziesiąt kilosów – rzuca zdawkowo Marek. - Godzina i będziemy na miejscu. Będziemy mieli jeszcze wystarczająco dużo czasu, by się rozłożyć, zrobić próbę akustyczną i chwilę odpocząć.

- A jutro dalej w drogę – z nienaturalną frenezją woła Jerzy. - Wrocław, Jelenia Góra, Poznań, Bydgoszcz, Trójmiasto, Warszawa, Radom, Kielce, Lublin, Rzeszów, Tarnów i do domciu. Spodziewał się ktoś z was, czegoś takiego? Gramy ze sobą zaledwie kilka miesięcy i już taka trasa! Wszędzie bilety wyprzedane do ostatniego miejsca! Jesteśmy zespołem jazzowym, a popularnością możemy konkurować z grupami rockowymi. Komu przed nami udało się taka sztuka?

Esbjornowi Svenssonowi – wtrąca Jan ponuro. - Ale on już nie żyje. Miał 44 lata, jak się utopił.

Zapada cisza.

- Ja mam 27... - dodaje Jan

- To jeszcze ci trochę zostało – Jerzy sili się na czarny humor.

- Pomyślcie – całkiem poważnie objaśnia Jan - jakby się sprzedawała nasza płyta, jakbym zginął tragicznie, w wypadku samochodowym, wypadł z okna, albo, jeszcze lepiej, popełnił samobójstwo.

- Boże, Janku – Dorota załamuje ręce. - O czym ty mówisz? Będziesz żył długo...

- Nie chcę... - dyszy Jan grobowym głosem.

- Otrząśniesz się z tego – zapewnia go Dorota - to minie, zobaczysz.

Chce podejść do Jana, ale ten tak na nią patrzy, że Dorota pozostaje na miejscu.

- Nie chcę się z tego otrząsać – Jan jest uparty. - Chcę z tym skończyć!

- Chłopie – denerwuje się Jerzy - w końcu wszyscy wpadniemy przez ciebie w depresję!

- Ej, spoko – Marek nie traci zimnej krwi. - Jasieniek ma plan długofalowy, a wy na niego naskakujecie.

- No, ma plan – rzuca Jerzy z przekąsem - żeby sobie z rozpaczy zrobić kuku.

Psychol.

- Nie z rozpaczy – żartuje Marek wisielczo - tylko żeby się płyta lepiej sprzedawała. A płyty nie ma, zgadza się? No to ją trzeba najpierw nagrać. Tak? A potem się zobaczy. Może to będzie platyna nawet bez tak radykalnych rozwiązań marketingowych?

Jan śmieje się.

- Obaj jesteście świry – krzyczy Dorota.

Owszem – mówi Jan spokojnie - ale Marek jest większy. W końcu to perkusista!

Teraz wszyscy się śmieją.

Siedzę w fotelu pozwijana niczym fakir i słucham koncertu grupy Jana. Jedyne, jaki mam. Oczywiście z prywatnej kolekcji, bo zespół nie wydał żadnej oficjalnej płyty koncertowej. Ten koncert nagrał przyjaciel Jerzego na całkiem przyzwoitym sprzęcie, więc słucha się go wspaniale, tym bardziej, że nigdy nie miałam audiofilskich odchyłeń, a sama muzyka jest kapitalna, taka inna, zagrana z pazurem, ba, powiedziałabym nawet, że w szaleńczym natchnieniu. Zamykam oczy i widzę ich.

Swoje solo na fortepianie kończy Dorota. Przez salę przewala się huragan braw, publiczność gwizdże i tupie. Jerzy i Jan grają kilka potężnych riffów unisono i rozpoczyna się solo Jana. Jan gra ekstatycznie, poraża emocjami, spala się w bolesnym paroksyzmie. Krzyczy na swym instrumencie, rozrywa przestrzeń

dźwiękami pełnymi dramatyzmu. Wygląda, jakby walczył z saksofonem. Jego twarz miażdży grymas bólu. Publiczność siedzi wbita w fotele, na sali panuje absolutna cisza. Po twarzy jednego słuchacza płynie łza. Ktoś nie wytrzymuje napięcia, kręci głową, sapie i wybiega z sali. Ktoś inny gwizdże na palcach, jeszcze ktoś krzyczy histerycznie. Jan gra i gra, napięcie sięga zenitu. Zespolony z saksofonem wygląda, jakby stracił zupełnie kontakt z otoczeniem. Muzycy patrzą po sobie zdezorientowani. W końcu Jerzy wbija się swą trąbką w improwizację Jana. Jan przytomnieje, rozwiązuje solo w ostatnim chorusie, jest skrajnie wyczerpany, chwieje się na nogach, jak ciężarowiec, który zbyt długo trzymał ciężar na klatce. Na widowni panuje cisza, przerywana tylko pojedynczymi, nieśmiałymi brawami.

Po koncercie, w hallu wyposażonym w bar, jak to po koncercie, leje się piwo. Słuchacze wciąż pod wrażeniem muzyki, dyskutują o występie zespołu.

- Niesamowity koncert – mówi jakiś chudy chłopak, który mimo młodego wieku może poszczycić się baaardzo wysokim czołem.

- Tak – zgadza się jego pryszczaty kumpel. - Jeszcze czegoś podobnego nie słyszałem... I ta wokalistka! Co za laska!

- Laska jest niezła – wtrąca osiłek o małpiej twarzy. - Nie powiem. Spróbowałbym ją wyrwać, jakbym nie miał jutro kolosa. Ale mnie kto inny zmiażdżył.

- Ten saksofonista, co? Jak on się nazywa... - zamyśla się chudy.

- Mucha – wtrąca szympans.

- Właśnie, Mucha – ożywia się chudy. – Rzec by można, że mucha nie siada. To geniusz, ale...

- Wariat – woła pryszczaty. - Zupełny wariat...

- No właśnie... - wzdycha chudy. - Żeby tak grać... To nie jest normalne. Chyba wpadł w jakiś trans...

- Czy on coś bierze – retorycznie pyta szympans.

- Podobno oni wszyscy biorą... - ze znastwem mówi hippis w brylach.

- Gadacie od rzeczy – denerwuje się pryszczaty. - On podobno stracił bliskich w wypadku samochodowym. Całkiem niedawno. Matkę chyba.

- A, takie buty... - chudy robi zdziwioną minę.

- No, to faktycznie... - szympans kiwa głową ze zrozumieniem. - Ale żeby aż tak to z siebie wyrwać na koncercie? Nie wiem, jak wy, ale przez moment miałem wrażenie, jakby się facet miał za chwilę zapalić. Albo jakby miała z niego trysnąć krew!

- Myślę, że to jest kolejny potencjalny samobójca... - krzywi się hippis. - Jak ten perkusista z Miłości. Pamiętacie?

- E tam, zaraz – bagatelizuje całą sprawę grubas w dżinsowej kurtce. Plotkujecie, jak stare baby. A taki Brotzmann? Facet, jak był młody, to też podobno grał tak, że się gacie pruły od samego słuchania. A teraz co? Ma siedem dych na karku i dalej grzmi na tych swoich saksofonach, aż miło. A Stańko? Też się spalał, wył na trąbie, jęczał i zawodził, aż zęby bolały. I chyba na używkach nie oszczędzał. A teraz proszę.

Dystyngowany, starszy pan, czarujący brzmieniem, wciąż wyzwala emocje, ale już nie wypruwa bebechów. A poza tym jogging, zdrowa żywność, luz, te rzeczy... Jak się to teraz mówi – król życia. To ten Mucha, jak dojrzeje, jak się zacznie golić, to też się uspokoi.

- No – zgadza się chudy. - Młodość musi się wyszumieć. A ten Mucha to ile może mieć lat? Pewnie trzydziestki jeszcze nie ma. A wiecie, tak mi się teraz przypomniało, że gdzieś wyczytałem o Stańce, jak to podszedł do niego kiedyś jakiś młody muzyk, taki adept jazzu, co to dopiero zaczynał terminować i się zapytał: "Mistrzu, jak grać, żeby grać dobrze?". A Stańko mu na to: „Man, musisz tak dopierdalać, żeby drzazgi z dupy szły!”.

Chudy, gruby, szympan, hippis i pryszczaty śmieją się z anegdoty.

W tym samym czasie na tyłach sceny, w garderobie dla muzyków, w kręgu, niczym przy ognisku, na krzesłach siedzą Marek, Jerzy, Dorota i Beata. Znac po nich trudy koncertu. Piją piwo. Jerzy pociąga także z piersiówki. Beata pali skręta.

- Dobry był wykon - mówi Marek, ocierając pot z czoła.

- Nie pieprz o wykonie – mówi Jerzy zmęczonym głosem. - Insekt przeholował.

- Nie mów tak o nim – unosi się Dorota.

- Będę mówił o tym wszawym klezmerze, jak będę chciał! Przeholował zasrany insekt - z uporem osła powtarza Jerzy.

Dorota unosi się z krzesła i chce coś powiedzieć, ale Jerzy nie dopuszcza jej do głosu.

- Nie widziałaś, co się dzieje? Coś z tym trzeba zrobić. Mucha miał normalny, regularny odlot! Na trzeźwo!

- Niesamowicie grał – wtrąca Beata. - Myślałam, że się zleję z emocji!

- Ty się zlewasz – syczy wściekle Jerzy - nawet jak nikt nie gra. Masz już dziurę w mózgu wielkości boiska do piłki nożnej od tych dragów. Mucha straszy publikę.

- Daj mu trochę czasu – próbuje łagodzić rozmowę Marek. - W końcu mu przejdzie.

- A jak tego czasu nie wystarczy – pyta dramatycznie Jerzy. - Jak mu podczas koncertu pęknie żyłka w kalarepie? To byłby piękny widok – muzyka szlag trafił na scenie. We wszystkich wiadomościach by nas pokazali.

- Przestań Jerzy – mówi Dorota słabym głosem.

- Jasny gwint – Jerzy bije się z całej siły pięścią w kolano. - To jednak nie był dobry pomysł. Trzeba było zawiesić działalność, odwołać koncerty...

- Skąd wiesz, że by się wtedy w domu nie zagrał na śmierć – spokojnie pyta Marek. - A może, by zrobił to, o czym mówił? Teraz przynajmniej mamy go na oku. Przecież wiesz, że jego stary jest w Kobierzynie...

- Jan kiedyś mówił – wtrąca Beata z głupawym uśmiechem, widać, że odpywa - że jego stary symuluje...

- Chyba żartujesz – denerwuje się Jerzy. - Symuluje, żeby siedzieć w wariatkowie? To dopiero by musiał być szajbus!

- A ty – Marek zwraca się do Doroty.

- Co ja – dziwi się dziewczyna.

- No wiesz... Przecież wszyscy wiedzą, że byliście ostatnio blisko.

- Nie aż tak blisko, jak ci się wydaje. Zresztą sam widzisz, że do niego nie ma dojścia.

W oczach Doroty pojawiają się łzy.

- Ile razy próbuję do niego zagadać, jakoś pocieszyć, to mnie odpycha.

- Bo ty – mówi Jerzy - wybacz dziecino, ale jesteś taka dupa wołowa. Weszłabyś mu do łóżka i od razu, by chłop oprzytomniał.

- Cham!

Beata chichocze.

- Zamknij się, idiotko – krzyczy Jerzy. - I zostaw to świństwo, bo się znowu zerzygasz.

Jerzy wyrwa Beacie skręta i wściekle depcze.

- Może i jestem cham – dyszy, nie przestając znęcać się nad jointem - ale przyjmij do wiadomości, że twoje wyobrażenia o facetach mają się tak do rzeczywistości, jak rower bez siodełka do dupy. Nie konwenują, kapujesz? Ty masz swoje romantyczne wyobrażenia, a każdy facet, to świnia, skarbie. Nawet Jasio.

Beata znowu chichocze i zapala kolejną porcję marychy.

- Tośmy sobie pogwarzyli na wysokim poziomie psychologicznie o życiu - mówi Marek - ale chcę wam przypomnieć, że jutro rano musimy jechać dalej. I się pewnie okaże, że my zdrowi i bezproblemowi, no, może jedynie tylko odrobinę upojeni alkoholem, z wyjątkiem naszej zespołowej seks bomby, która zdążyła się już naspawać w cztery dupy...

- Dziękuję – wtrąca Beata.

- ...będziemy jutro nieprzytomni z niewyspania – kontuuje Marek - i tylko nasz Jasieczek będzie na chodzie, bo już pewnie dawno chrapie w łóżeczku.

Marek wstaje i zaczyna zbierać rzeczy.

- Co racja, to racja – zgadza się Jerzy.

Cała czwórka zbiera się do wyjścia.

Puszczam koncert jeszcze raz. Ale prawie nie słucham muzyki. Myślę. Spekuluję. Analizuję emocje. Próbuję odgadnąć przeszłość. Może właśnie wtedy, po mtamtym koncercie, to była ta chwila, decydująca. Chwila od której rozpoczął się zjazd Jana na złamanie karku?

Beata, Dorota, Marek i Jerzy idą jasno oświetlonym, hotelowym korytarzem. Jerzy pociąga z piersiówki. Przechodzą koło drzwi pokoju Jana.

- To co – szepcze Jerzy do Doroty. - Idziesz do niego? Poświęcisz się, stracisz cnotę i uratujesz i Insekta i zespół.

- Kretyn – syczy Dorota.

Usiłuje spoliczkować Jerzego, ale chłopak zgrabnie się uchyla.

- No to może byś do niego zajrzała tak normalnie? Bez podtekstów? Po prostu żeby sprawdzić, czy się aby nie powiesił na klamce.

- Mam dosyć tego twojego grubiaństwa, tej znieczulicy, chamstwa degeneracie!

Beata chichocze, oparta o ścianę. Ledwo trzyma się na nogach.

Marek puka do drzwi Jana. Cisza. Marek puka jeszcze raz. Naciska na klamkę. Drzwi są zamknięte.

- Spadajcie – zza drzwi dobiega niezbyt głośny, ale zdecydowany głos Jana.

- Żyje insekt jeden... - szepcze Jerzy.

Marek odwraca się do reszty towarzystwa.

- Ale chyba jednak byłoby lepiej, jakby ktoś tam wszedł i zobaczył, jak się klient trzyma.

Marek pokazuje Dorocie, żeby ona spróbowała. Dorota puka do drzwi.

- To ja, Dorota. Otwórz, proszę.

Nie rozumiesz po polsku – irytuje się Jan. - Wypad!

Naraz jego głos łagodnieje.

- Nie potrzebuję towarzystwa. Zmęczyłem się. Chcę spać.

Dorota ma minę, jakby się miała rozplakać.

- Pies go trącał – mówi Jerzy na głos. - Idę lulu.

Jerzy odchodzi. Dorota kładzie rękę na drzwiach. Płacze bezgłośnie. Beata wzrusza ramionami.

- No to dobranoc – bełkocze.

Zataczając się idzie do swojego pokoju.

- Dorotko... Marek delikatnie dotyka pleców Doroty. - W porządku? Chodź, trzeba spać. No, nie płacz, nic mu nie będzie.

Marek i Dorota odchodzą, każde do swojego pokoju. Korytarz pustoszeje.

- Dorota... - spoza zamkniętych drzwi dobiega głos Jana. - Dorotko, wejdz.

Po chwili absolutnej ciszy, słychać skrzypnięcie podłogi. Drzwi do pokoju Jana uchylają się. Jakby ktos stał na korytarzu, zobaczyłby w nich zarys postaci. Ale na korytarzu nie ma już nikogo. Drzwi zamykają się.

Mija minuta i otwierają się drzwi do pokoju, w którym nocuje Jerzy. Jerzy wygląda ostrożnie na korytarz. Chyłkiem, w samych majtkach chłopak przemyka na drugą stronę korytarza i puka do drzwi.

- Czego – pyta Beata zaspianym głosem.

- To ja, Banan. Wpuść mnie.

- Banan...

- No?

- Spadaj.

Jerzy wraca do siebie.

- Piękna, a bestia - mówi do siebie, znikając w pokoju.

- Beato! Ty szmato – woła jeszcze na głos, nim zamknie drzwi. - Jakbyś nie ćpała tyle, to bym się z tobą ożenił.

- Goń się – krzyczy Beata ze swojego pokoju.

Jest środek nocy. Otwierają się drzwi prowadzące na ten sam korytarz oświetlony teraz już tylko lampkami ewakuacyjnymi. W półmroku widać Beatę. Ma na sobie tylko kusą koszulkę. W ręce ściska niewielką torebkę, kosmetyczkę albo saszetkę. Kieruje się w stronę pokoju Jana. Naciska klamkę. Drzwi są tym razem otwarte. Beata wchodzi bez pukania. W pokoju jest ciemno, niewiele widać.

- Dorota – pyta Jan.

- Nie, głuptasie... święty Mikołaj.

- To ty... Po co przyszłaś?

- Bo wiem, czego ci trzeba, Guciu.

- Mówiłem ci już, żebyś mnie tak nie nazywała. To infantylne. I wyjdź stąd!

Beata zbliża się do Jana. Jan siada na łóżku.

- Jesteś, jak modliszka...

- Tak, pożeram facetów w łóżku.

Beata przytula się do Jana.

- Czujesz moje ciepło?

Jan obejmuje ją

- Całuj – szepcze dziewczyna.

Jan puszcza ją, odsuwa się.

- Odejdź – mówi cicho.

- Nie chcesz mnie? Wiem, że chcesz. Po co się bronisz?

- Proszę cię, wyjdź stąd.

- A więc nie? Dobrze, mam coś lepszego. A potem... potem i tak nie będziesz się opierał.

Beata siada koło Jana, otwiera saszetkę, wyciąga łyżeczkę i małą torebkę z narkotykiem.

- Co to za gówno? Po co?

Beata wysypuje narkotyk na łyżeczkę, podgrzewa go od spodu zapalniczką.

- To jest najlepsze gówno na świecie.

Gotowy narkotyk zasysa do strzykawki. Jan przygląda się biernie.

- I tego właśnie ci trzeba.

Beata bierze Jana za rękę. Jan daje sobie zrobić zastrzyk. Osuwa się bezwolnie na łóżko.

Czy tak to się zaczęło? A co za różnica? Mijały dni, tygodnie, miesiące, zmieniały się pory roku, ale Jan, który jeszcze nie tak dawno był małym Jasiem, oczkiem w głowie swojej matki, okradziony przez los, przypadek, Boga, nic o tym nie wiedział. Zapadał się coraz bardziej i bardziej. Jakby ktoś nakręcił film o Janie, o tym okresie w jego życiu, to pewnie kombinowałyby z obrazem, dużo ujęć byłoby filmowanych z ręki, chybotliwych, raz w dziwnych barwach, raz całkiem szarych. Zresztą Jan tak właśnie postrzegał świat, życie, to co się wokół niego działo – wszystko drgało, rwało się, rozjeżdżało, było nieostre i zdeformowane. I nie miało znaczenia. Liczyło się tylko to, żeby przyćpać. Żeby sobie zrobić zastrzyk. Żeby wciągnąć kokę nosem. Żeby się napić (Jan pił wszystko, nawet płyny, które się zdecydowanie do picia nie nadawały). Żeby powąchać klej. No i muzyka jeszcze się liczyła. Trochę. Jan, jak na rasowego nałogowca przystało, ćpuna organicznego, wzorowego narkomana, jak:

- chodził, to się zataczał; zdarzało mu się straci równowagę na prostej drodze, rymnąc o chodnik twarzą, rozwalić sobie nos, z którego malowniczo, ale niezbyt estetycznie leciała krew zmieszana z glutami;
- leżał, to na byle gdzie, na ławce, na trawniku, pod murem, często we własnych szczynach, wymiocinach, rzadkim kale
- chciał coś powiedzieć, to bełkotał, ślinił się, bluzgał wulgaryzmami (a A taki był kiedyś dobrze wychowany, nawet cholera nie powiedział)
- patrzył, to z obłędem w oczach, albo wzrokiem niewidzącym, w zależności od momentu cyklu narkotycznego
- przechodził mimo, to wszyscy mijani zatykali nosy, bo śmierdział wprost nie do wytrzymania aż nazbyt często, bo wyglądał odrażająco i przerażająco praktycznie cały czas
- zawierał znajomości z nieznanymi mężczyznami, to na ogół owo zawieranie polegało na łomocie – Jan bywał lany do utraty przytomności, co nie powinno budzić zdziwienia, jeśli się zważy, jaką odrazę budził samym swym wyglądem.
- po tym, co w siebie wciągnął, wstrzyknął lub wlał miał wizje, to były to wizje potworne – widział monstra, straszliwie zdeformowane twarze ludzkie i mordy zwierzęce, robaki, owady, szczury, gnijące mięso, fekalia, krew ciekącą po ścianach. Często spadał przerażony w czarną czeluść bez dna. To było piekło. Jakim cudem cały czas mógł grać? Jakim sposobem udawało się Jerzemu i Markowi (bo dla Doroty stan Jana nazbyt odbiegał od jej estetycznych przyzwyczajzeń, by mogła mu pomóc, i to pomimo szczerych chęci) postawić go na nogi, zmyć fetor, ubrać w schludną odzież i doprowadzić na koncert? A kto to wie? To była jedna z wielu niepojętych tajemnic przyrody.

Trudno mi o tym myśleć. Trudno sobie wyobrazić. Wszystko wskazywało na to, że sceny z filmu „Trainspotting” w porównaniu ze scenami z życia Jana, to były bajeczki dla grzecznych dzieci.

Ale jakoś sobie z tym radzę, bo wiem, że życie miewa zaskakujące zwroty, że czasami następuje moment ILUMINACJI. Staje się CUD. I wszystko się zmienia. Jak w życiu Jana.

Za chwilę ma się rozpocząć koncert Jana i jego zespołu. W dużej sali, z lewej strony sceny, przy stoliku siedzą: Marek, Jerzy i Dorota. Są przybici i zdenerwowani. Z garderoby dla muzyków dochodzą bezładne, łamiące się dźwięki saksofonu.

- To koniec... - mówi Marek zgaszonym głosem
- Najpierw Beatę wzięli na odwyk, a teraz... on – dorzuca załamany Jerzy, robiąc ruch głowy w stronę garderoby, skąd dochodzą odgłosy saksofonowej męczarni.

- Byłem u niej wczoraj – kontynuuje chłopak łamiącym się głosem, ledwie panując nad napierającym z coraz większą siłą atakiem rozpacz.

- Przypięli ją pasami, jak... jak zwierzę. Nie, jak szmacianą lalkę. Przyszpilili, jak owada. Podobno strasznie świruje. Dają jej prochy, ale ona jest cwana. Pewnie nie łyka wszystkiego.

- Oni ją zniszczą – mówi zawzięcie Marek. - Bo ona się nie podda, nigdy. Musieliby jej zrobić lobotomię, zaaplikować elektrowstrząsy, jak w „Locie nad kukułczym gniazdem”. Musieliby z niej zrobić roślinę. I pewnie to zrobią, tylko mniej spektakularnymi metodami. Albo ją wypuszczą i wtedy się zaćpa na amen.

- Rozmawiałem z lekarzem – głos Jerzego drży. - Nie wypuszczą jej. Zrobili z niej wariatkę niebezpieczną dla otoczenia. Teraz to już jest zemsta, egzekucja.

- To nie może tak działać... - szepcze Dorota.

- Boże, jaka ty jesteś naiwna – krzyczy Jerzy histerycznie. - Oni ją zabiją... po tym, co zrobiła.

- Ale co się stało? Przecież my nic nie wiemy. Marek? Ty coś wiesz?
Marek przecząco kręci głową.

- Ona... - wyjaśnia Jerzy - ten lekarz, no, sam nie wiem, ale coś mnie tknęło, byłem przekonany, że konował kłamię. Czułem, że coś się stało. Przekonałem więc jednego pielęgniara z pomocą paru złotych, żeby ze mną szczerze porozmawiał – chłopak nagle unosi się, prawie krzyczy.

- Bo nie traktuje się tak ludzi! Jakbyście ją widzieli...
Jerzy zaciska dłonie w bezsilnej złości. W jednej z nich trzyma szklankę z piwem, szklanka pęka, rozcinając skórę, ale chłopka nie zwraca nawet na to uwagi.

- Boże – krzyczy Dorota, zrywając się z krzesła. - Nic ci nie jest?
Ogląda dłoń Jerzego. Rzęzenie w garderobie ustaje.

- Nie, tylko lekkie rozcięcie – mówi Jerzy całkiem spokojnie. - Spróbuj zatamować jakoś krew, żeby mi się nie lała w czasie gry.

Dorota wylewa na ranę wodę z butelki, obwiązuje ją chustką.

- To bydlę przyszło do niej na nocnym dyżurze – po chwili opowiada Jerzy. - Chciał ją zgwałcić!

- Co takiego – woła Dorota.

- Rzucił się na nią, zaczął całować... I wiecie, co mu zrobiła?
Z garderoby cały czas dochodzi kakofonia dźwięków

- Odgryzła mu kawałek wargi! Gnój wygląda teraz jak pieprzony Frankenstein.
Jerzy najpierw śmieje się dziko, a potem zaczyna szlochać. Dorota jest przerażona, nie może wydobyć z siebie słowa. Marek przysuwa się do Jerzego, chce go jakoś pocieszyć.

- Uspokój się – mówi Marek bez przekonania. - Będzie dobrze...

- Nie będzie – szepcze niemal niesłyszalnie Jerzy i obejmuje Marka, jakby był małym dzieckiem szukającym ratunku u ojca.

- Ona... - szlocha Jerzy - nie ma już... wybili jej zęby...

- Musimy ją stamtąd zabrać – do trójki przyjaciół dobiega zdecydowany, zupełnie trzeźwy głos Jana.

Wszyscy odwracają się w stronę chłopaka, który stoi w drzwiach do garderoby.

- Co ty powiedziałeś – w głosie Jerzego brzmi nadzieja.

- Nie możemy jej tam zostawić.

- To samo powiedział mi ten pielęgniarz. „Zabieraj ją chłopie, jeśli ci choć trochę na niej zależy”. Tak powiedział.

- I tak zrobimy – głos Jana jest twardy. - Pójdziemy tam i ją zabierzemy.

- Tak – woła Jerzy. - Tak zrobimy! Wyrwiemy ją stamtąd choćby siłą! Pojedziemy tam od razu, teraz! Jak będzie trzeba, rozpieprzymy cały jebany Kobierzyn!

Oszaleliście obaj – krzyczy przerażona Dorota i błagalnie zwraca się do perkusisty: - Marek, powiedz coś...

- Też nie widzę innego rozwiązania tej improwizacji, niż wielkie, finałowe SRU!

- Kretyni! Wszyscy skończycie za kratkami, albo w kryminale! Jan! Zniszczą cię, jak cię złapią...

- Mnie już nie zależy. Jestem skończony. Nie potrafię... nie mogę grać. Zresztą... nie bój się. Nie złapią mnie. Nikogo nie złapią. Mam plan.

- Jedźmy, jedźmy tam zaraz – krzyczy Jerzy.

- Nie, załatwimy to, jak będziemy gotowi. Może już jutro.

- Gówno! Co się zmieni do jutra? Mam auto...

- Wyluzuj, Banan. Jak ci zależy na Beacie, to zrobimy to po mojemu. A teraz wyjdziecie na scenę i wykoscicie, aż miło. Dla Beaty, dla siebie, dla tych ludzi na sali... I dla mnie. Tego wieczora jesteście triem, jakiego nie było i nie będzie! Do roboty!

- Jak to trio? A ty?

- Nie słyszałeś, jak gram? Próbowałem... ale nic mi nie wychodzi. Ja już nie umiem grać. Ale wy umiecie. I to, jak cholera umiecie.

Jerzy, Dorota i Marek stoją ze spuszczoneymi głowami.

- No co jest – lekko pogardliwie pyta Jan.

- Ale bez ciebie nie ma zespołu – rzuca Jerzy. - Ten nasz zespół, to tak naprawdę... ty.

- Głęb jesteś, jak tak myślisz. Ale ty zawsze byłeś dupkiem. Ze mną, czy bez – zawsze jesteście dobrzy. Najlepsi! Idźcie i grajcie, bo wam dokopię do dupy! No, dalej, a ja sobie spadnę. Zmęczony jestem.

Jan rusza w stronę wyjścia.

- Jan! A saksofon?

- Weź sobie – rzuca Jan nawet się nie odwracając. - Ja go już nie potrzebuję.

Jan wychodzi po schodkach, do następnej piwnicznej sali. Kiedy znika z oczu kolegom, zatrzymuje się, wyciąga jakieś pigułki i łyka. Nasłuchuje.

- To co robimy – pyta Marek.

- Jak to, co – mówi Jerzy z energią. - Insekt ma rację – zagramy!

- No, Dorotko? Jesteś nam potrzebna.

Po chwili słychać brawa, kilka niewyraźnych słów i rozbrzmiewają pierwsze takty muzyki. Jan uśmiecha się smutno i wychodzi. Przy wyjściu zahacza go barman.

- Panie Janie, a pan dokąd?

- Muszę coś załatwić.

- To dzisiaj tak bez pana będą grali? Jakże to tak?

- A jakie to ma znaczenie? Niech pan posłucha lepiej, jak im żre!

Obaj słuchają przez chwilę muzyki. Barman z niedowierzaniem kiwa głową.

- Słyszysz pan? Jeszcze nigdy nie grał tutaj taki zespół...

Jan wychodzi.

Kocham mamę. Chodzę do niej, kiedy tylko mam czas. A muszę mieć dla niej czas, bo jak jej nie widzę przynajmniej raz w tygodniu, to zaczyna się ze mną jakiś coś dziwnego, ogarnia mnie jakiś niepokój. Te moje odwiedziny u mamy, to jest jakiś wewnętrzny przymus. Nie wiem co by się stało, jakbym nie mogła jej zobaczyć. Nie wiem... No i lubię słuchać jej opowieści. Dziadka też kocham, chyba... Na pewno nie tak, jak mamę! Myślę, że jak dziadek kiedyś umrze, to jakoś sobie z tym poradzę. Bo

dziadek jest trochę dziwny. Myślę, że zawsze był strasznym samolubem i taki pozostał, choć na starość i tak bardzo się zmienił na lepsze. Lubię opowieści mamy, ale dziadka słuchać wręcz uwielbiam!

Cały plan Jana dotyczący wyrwania Beaty ze szpitala psychiatrycznego, to był ojciec Jana. Nie był to więc właściwie plan, ale nadzieja. I wiara, że ojciec pomoże. I nawet, ale pewności w tym nie ma, chyba odrobina miłości. Czasami nadzieja ma wymiar pewności. Tak było w tym przypadku. Jan nie miał najmniejszych wątpliwości, że ojciec coś wymyśli, załatwi sprawę. Jan nie wiedział na czym to polega, ale jego ojciec w psychiatryku, czuł się, jak w domu. Nie – czuł się lepiej! W dniu, w którym Jan zjawił się w szpitalu, jego ojciec, jak zwykle, siedział w rogu na krześle, z otwartymi, niewidzącymi oczami, w katatonicznej postawie. Ojciec patrzył tępo przed siebie, ale wszystko widział. I wszystko wiedział. Czekał na Jana.

Jan jest trzeźwy, nie naćpany, ubrany w czystą odzież, umyty i ogolony. Wie gdzie idzie i po co. Przygotował się. Melduje się na portierni, prosi o widzenie z Adamem Muchą. Po chwili zjawia się pielęgniarz. Idą razem korytarzem. Wchodzą do pokoju, w którym przetrzymywany jest Mucha senior.

- Dziękuję panu – zwraca się Jan do pielęgniara.

Pielęgniarz wychodzi. Jan zostaje sam na sam z ojcem.

- Poszedł już – mówi Jan.

- Przecież wiem - ojciec nagle ożywia się, patrzy bystro na Jana, zmienia pozycję na swobodną, zakłada nogę na nogę.

- Nooo, cześć, Jan. Co cię sprowadza do starego ojca? Ile to cię nie widziały moje oczy? Pół roku? Nie, dłużej. Pewnie rok?

- Mam kłopot. Poważny.

Ojciec przygląda się Janowi badawczo.

- Widać, że masz kłopot. Bierzesz, co?

- To teraz nie jest istotne...

- To zawsze jest istotne.

- Daj mi powiedzieć. Nie przerywaj ciągle.

- Dobrze. Mów.

- Jest tutaj pewna dziewczyna. Beata.

- To ta najładniejsza cizia z twojej klasy z podstawówki? Tak?

- Tak.

- I tutaj jest? To nie jest fajne miejsce dla takich dziewczynek.

- Ona już nie jest dziewczynką.

- Domyślam się. Tym bardziej to nie jest miejsce dla niej.

- Właśnie. Trafiła tu na odwyk i wpadła w oko jednemu konowałowi. Ale on jej nie.

- Wiem.

- Wiesz o tym?

- Tu wszyscy o tym wiedzą. Ale nie wiedziałem, co to za dziewczyna. Ostra musi być, ta Beata...

- Za ostra. Trzymają ją w pasach, na prochach. Jerzy ją widział i twierdzi, że wybili jej zęby.

- To może być...

- Dlatego tu jestem.

- A co ja mogę?

- Nigdy cię o nic nie prosiłem, zresztą niby jak? I o co? Ale teraz... Ona tutaj zginie, wykończą ją. Zabiją, albo przerobią na roślinę. Proszę...

- Dobrze. Wydostaniemy ją. Ale to będzie kosztować.
 - Forsa będzie. Ile potrzeba.
 - To załatw jakiś wóz i przyjedź pod wejście dla zaopatrzenia, między drugą, a trzecią w nocy. Jak wszystko dobrze pójdzie, to ją odbierzesz.
 - To wszystko?
 - A co byś jeszcze chciał? Więcej sensacji? Dramatyzmu?
 - Dziękuję, tato.
 - Tato... Nawet fajnie to zabrzmiało. Należy ci się coś od starego za te wszystkie lata. Gadaj teraz, co z tobą?
 - Ze mną? Nic. Poza tym, że jestem skończony.
 - Skończony? Co to znaczy: skończony?
 - Wszystko. Pogubiłem się. Moje życie z ostatnich kilku miesięcy, to ryszotok. Ćpam, piję, co tylko się do wypicia nadaje... Mam omamy...
 - Pogratulować osiągnięć. Pogadam z dyrem, pewnie znajdzie dla ciebie jeszcze jakieś miejsce po znajomości.
 - Nie wygłupiaj się.
 - Ja się nie wygłupiam. Jak się nie weźmiesz w kupę, to wcześniej czy później tutaj trafisz. A co z muzyką?
 - Koniec.
 - Jak to koniec?
 - Po prostu. Nie mogę grać. Nie umiem – Jan pokazuje na usta. - Cały aparat mi się rozregulował... ręce mi latają. Ale to nie tylko to... Po prostu nie wiem, co grać, ani jak.
 - Myślałem, że muzyka to dla ciebie wszystko...
 - Bo tak jest!
 - Gównu! Jakby tak było naprawdę, jakbyś kochał muzykę ponad życie, a tak trzeba kochać, by kochać prawdziwie, to byś miał tę moc! Znalazłbyś w sobie siłę, by się dźwignąć! By sobie powiedzieć: NIE BIORĘ!
 - A ty? Ty nie znalazłeś...
 - Bo ja nie kochałem nic i nikogo. Nawet siebie. Miałem tylko talent. Mówiono, że wielki. Ale to mało. Trzeba też mieć serce... A ty je masz! Słyszysz? Masz serce do grania! Możesz wszystko!
 - Już nie...
 - Chrzanisz...
 - Mama nie żyje... Zginęła w wypadku samochodowym. Razem z wujkiem Andrzejem. Jechali właśnie na mój koncert na Zaduszkach. Wpadł na nich radiowóz policyjny. Podobno gonił jakichś drobnych złodziejasków. Nie było co zbierać. Oboje zginęli na miejscu...
 - Wiem.
- Zapada cisza.
- Jakby nie ten koncert...
 - Idioto! Myślisz, że jesteś pępkiem świata? Myślisz, że jakbyś siedział na dupie kołkiem w domu, to oni by żyli? Naprawdę ci się wydaje, że życie jest takie proste? Że wszystko można przewidzieć, wszystko kontrolować, o wszystko zadbać? Głupi! Jaki ty jesteś głupi... A teraz co? Myślisz, szmaciarzu, że twoja matka albo wuj byliby szczęśliwi widząc, jak się użalas nad sobą, jak sam siebie niszczysz? Tak ci się wydaje? To nic o nich nie wiesz! Wydawało mi się... miałem nadzieję, że jesteś gościem! A ty jesteś osioł, klarnet. Wytrzyj gluty z nosa gówniarzu i pokaż, co potrafisz! Idź i walcz! Udowodnij, że matka i wuj nie mylili się widząc w tobie muzyka. Człowieka!
 - Tato... - po policzkach Jana cieknął łzy.

- Wypierdalaj, bo mi się rzygać chce, jak na ciebie patrzę!

Jan robi krok w stronę wyjścia.

- Zaczekaj... Wiem, co czujesz. Przemyśl to, co ci powiedziałem. Zadaj sobie pytanie, czy warto. Nie, zadaj sobie pytanie, czy ci wolno! I czy tak chcesz naprawdę, czy to tylko zamroczenie, słabość...

- A dlaczego ty... tutaj... dlaczego udajesz?

- Bo tu jestem bezpieczny. Tam, na wolności, nie wiedziałem, jak żyć. Tu za nic nie odpowiadam, o nic się nie martwię.

- Ale to nie jest życie.

- Zgadza się. Jeżeli to widzisz, to idź tam, gdzie jest życie. Idź synu, a nie daj się zgnoić!

- Tato...

- Idźże już. Mam dosyć tej rozmowy. Teraz przez ciebie będzie mnie boleć głowa.

Jan wychodzi.

- Nie masz za co dziękować – woła za nim ojciec. - Cała przyjemność po mojej stronie. I pamiętaj – dzisiaj w nocy. Nie damy zgnić tutaj takiej ostrej lasce. Bo ostre laski, synu, są na wagę złota!